

## Laura księżna d'Abrantès. Pamiętnik (fragmenty)

Napoleon miał swój odrębny sposób dyskusowania. Myśli się na ogół, że narzucał milczenie i nie zezwalał na żadną replikę. To nieprawda. Często byłam świadkiem ożywionej dyskusji, która nie przebiegała inaczej niż każda ożywiona rozmowa między dwiema osobami odmiennego zdania. Napoleon dyskutował, ale się nie kłócił – pisała księżna Laura d'Abrantès w swoich pamiętnikach.

Laura Permon, Korsykanka, żona generała Andoche'a Junota, została księżną d'Abrantès, gdy po zajęciu przez jej męża portugalskiego miasta Abrantes Napoleon nadał mu w 1808 roku tytuł książęcy. Portugalia, której XIX-wieczne dzieje rzadko goszczą w polskiej świadomości historycznej, była jednym z krajów naznaczonych napoleońską epopeją: konflikt na Półwyspie Iberyjskim, kojarzony u nas skrótowo z przełęczą Somosierra czy oblężeniem Saragossy, zaczął się właśnie od francuskiej okupacji Portugalii w 1807 roku. Laura Junot d'Abrantès należała do barwnych świadków swej epoki. Wychowana w kręgu korsykańskich znajomych rodziny Bonaparte, już jako bardzo młoda kobieta związała swoje życie z Junotem i szybko trafiła na dwór konsularny, a następnie cesarski i znalazła się w wirze jego ceremonii, intryg i balów. Jej wspomnienia, spisywane po upadku Napoleona i wydane po raz pierwszy w 1831 roku, pełne są anegdot, szczegółów i często złośliwego humoru autorki. Laura знаła Napoleona, Józefinę i ich najbliższych od prywatnej strony. Jej relacje stały się jedną z najczęściej cytowanych kronik obyczajowych epoki, współtworząc

zarazem legendę cesarza i dodając jego postaci rysów charakterologicznej złożoności. Polskiemu czytelnikowi zostały udostępnione w 1974 roku za sprawą tłumaczenia Elżbiety Wassongowej. Ich krótki fragment przenosi nas na podparyski zamek Saint-Cloud, który po 1804 roku służył Napoleonowi i rodzinie jako jedna z ich głównych, ulubionych siedzib (tam też jego bratanek Napoleon III ogłosił się cesarzem, a w 1870 roku wypowiedział wojnę Prusom). Bonaparte, otoczony uczonymi i ludźmi pióra, objawia się w nim jako uważny, niekiedy polemiczny komentator swej epoki.

### **Konwersacja Napoleona – Literatura, obyczaje – Gall**

W tej epoce szkoła romantyczna nie wyszła jeszcze z powijaków i nie objawiła się nam, jak to czyni dzisiaj, prowadzona przez kilka wspaniałych głosów. A jednak całe ówczesne młode pokolenie, to jest my wszyscy w wieku od lat osiemnastu do trzydziestu, pasjonowaliśmy się tą płodną literaturą, co tyle dróg otwierała przed wiedzą i tak silne światło rzuciła na przedmioty wzniosłe, dotąd ukryte w cieniu przez przesąd nazywany prawem, którego nie usankcjonował jednak żaden trybunał, chociażby trybunał rozsądku. Goethe, Schiller, cała literatura niemiecka i nowa literatura angielska, przetłumaczone na nasz język, cudownie uzupełniały Jana Jakuba Rousseau, Woltera, Bernardina de Saint-Pierre i André Chéniera. Wtedy to powstały nowe utwory, co prawda pozbawione kształtu, monstrualne [1], ale mające utorować drogę, zrodzić te niezwykle talenty, które, choć jeszcze bardzo młode, w przyszłości miały osiągnąć właściwy poziom. Na ich czele stoi jeden szczególnie zasługujący na określenie – którym tak często się szafuje, ale tak rzadko zasłużenie – wielkiego i genialnego. To Wiktor Hugo. Otacza go promienna aureola prawdziwej sławy poetyckiej, której blask nie ma nic fosforycznego. To król literatury wielkiej i pięknej epoki. Chwała mu, po trzykroć chwała!

Kolejne wspomnienia, przywoływane przeze mnie, stawiają mi przed oczyma mnóstwo szczegółów, które byłabym z pewnością pozostawiła w cieniu, gdyby ich te pamiętniki nie zbudziły. W większości moich wspomnień cesarz odgrywa znaczną rolę, ale jedno z nich zwłaszcza uderza mnie przez swój związek z mnóstwem spraw poruszanych dzisiaj. Jest to wieczór spędzony w Saint-Cloud, w czasie którego Napoleon przewodniczył, że tak powiem, Instytutowi i ponad trzy godziny mówił o literaturze i rewolucji, jaką ta literatura przeżywa. Cesarz, podobnie jak my, był romantykiem. Jeśli przystawał, by posłuchać, jak wieczorem w Rueil dzwon wydzwania Anioł Pański, kiedy wzrok mu się ożywiał na widok białą ubranej kobiety przechadzającej się w cieniu drzew, jeśli wzruszało go wszystko, co na wsi o każdej porze dnia daje natura, to widocznie był romantykiem. Był nim jednak jak Wiktor Hugo, jak Chateaubriand, jak Nodier, jak Juliusz Janin, jak Aleksander Dumas, jak „głupcy” w tym rodzaju, a nie jak piękne i wielkie umysły, które wymyślają słowa sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, które ukazują naturę niewzruszoną w swym błocie i brudzie, i którym się wydaje, że należą do szkoły romantycznej, gdyż nie przestają koniugować na wszelkie sposoby czasowników: zabijać, gwałcić, palić. Są oni tak prawdziwymi romantykami, jak prawdziwymi republikanami są ci, którzy krzyczą: „Niech żyje rok 93 i brudne ręce!”.

**Przeczytaj również: Napoleon – co gdyby mu się udało? Marcin Darmas**

Napoleon taki nie był. Nie zawsze podzielałam jego zdanie o literaturze, trzeba mu jednak przyznać głębokie spojrzenie na każdy przedmiot, o jakim mówił. Dzień, o którym opowiadam, była to niedziela. Kiedy cesarz był w dobrym humorze, był czarujący. Ale

strzeżcie się docinków, jeśli pogoda okazała się burzliwa! Wtedy niebezpiecznie było mieć z nim do czynienia. Jednakże ta niedziela okazała się pomyślna. Spostrzegłam to natychmiast, kiedy weszłam do salonu; znajdowali się w nim wszyscy uczeni, których cesarz lubił i z którymi rozmowa dzięki ich inteligencji i wielkim zdolnościom sprawiała mu przyjemność. Dotyczyło to zwłaszcza jednego z nich, pana Roederera. Był tam także pan de Laplace, przezacny Monge i kardynał Maury. Pan Chaptal przyniósł pierwsze ryciny z podróży do Egiptu. Chociaż były to tylko próbne odbitki, widać już było ogromną różnicę między nimi a pracami pana Denon. Toteż ten ostatni pospieszył się z ich dostarczeniem, aby można było porównywać jedynie w pamięci. W salonie znajdował się także pan de Lacépède i nie jestem pewna, czy nie było tam także pana Cuvier. Nadzwyczajne zebranie tych panów miało omówić zagadnienia chemii i fizyki, na temat których korespondenci z Północy nadesłali sprawozdania. Cesarz na ogół nie bardzo lubił zdobycze nauk ścisłych pochodzące z Niemiec. Niechęć ta występowała jeszcze silniej, gdy szło o literaturę, niezbyt bowiem pozostawała ona w zgodzie z jego punktem widzenia. Ci, którzy znali Napoleona, zrozumieją mnie, a ci, którzy nie mieli tej sposobności, będą mogli urobić sobie o nim zdanie dowiadując się na przykład, że nie lubił Kotzebuego Nienawiści ludzi i żalu, a cenił sztuki Schillera; że sztuki Szekspira uważał za piękne, Osjana za cudownego, a nie lubił poematu Pope'a Pukiel włosów ucięty, chociaż temat był tak wdzięczny. W naszej literaturze przedkładał Corneille'a i Moliera nad wszystkich innych i wpadał w gniew, kiedy mówiono mu o Doracie lub kimś do niego podobnym. I trzeba przyznać, że miał się o co gniewać.

Zapamiętałam ten wieczór, niezwykle ze względu na obrót, jaki przybrała rozmowa, początkowo mająca na celu najpoważniejszą dyskusję. Szło o sprawozdanie dotyczące odkryć dokonanych w Bawarii przez barona Aretin. Cesarz, który interesował się wszystkim,

wysłuchał Bertholleta i kilku fizyków z Instytutu omawiających odkrycie uczynione przez pana Aretina lub raczej tajemnicę ognia greckiego poznaną przez niego przed kilku laty. A ponieważ pan Aretin zajmował się także mnemoniką, a mnemonika pana de Fenaigle'a również nam zamąciła w głowach, cesarz chciał, jak sędzę, poznać opinię najpoważniejszych członków Instytutu i tego dnia czterech spośród nich jadło obiad w Saint-Cloud. Kiedy weszłam do salonu, cesarz rozmawiał z wielkim podnieceniem i wydało mi się, że tematem rozmowy nie jest bynajmniej elektryczność lub sól obojętna, lecz raczej ciepło. Kardynał Maury, który nie był łatwy w obejściu i lubił się spierać, nie był grzeczniejszy rozmawiając z cesarzem niż niegdyś z ambasadorem pruskim, panem Brockhausenem, kiedy mu powiedział: „Cóż, proszę pana, wam w Prusach potrzeba jeszcze stu lat na to, by zrozumieć Racine'a”.

Nie twierdzą, że tym razem pozwolił sobie na zuchwalstwo w podobnym rodzaju, ale po kilku minutach gruby głos kardynała huczał już straszliwie. Dlatego, mimo że umiał dyskutować, zawsze obawiałam się dyskusji literackich lub politycznych, gdy kardynał się do nich wtrącał.

Rozmowa skierowała się, nie wiem w jaki sposób, na zepsucie moralne języka francuskiego. Cesarz w podobnych sprawach mówił słusznie, kierując się instynktem, ale nie był w stanie dotrzymać pola takiemu człowiekowi jak kardynał. Łatwo się domyślić, że w czasie tej dyskusji panowała zbożna cisza i nie zatraciło się żadne słowo obu rozmówców. Napoleon twierdził, że przemiana, jaka dokonała się w języku, była nieuniknionym następstwem wpływu obyczajów.

– Elegancki świat pozostawił dla ludu słowa, które wydawały mu się plugawe i nieprzyzwoite, a dlaczego wydają mu się takie? A więc kobiety i dziewczęta dobrze znają te wyrażenia? Powinny być niewinne i dziewicze, nie wiedząc, co znaczą słowa „niewinność”, „dziewiczość”.

Kardynał odpowiedział, że cesarz się nie orientuje w tej sprawie, i była to prawda. Nie szło o skutek, lecz o przyczyny, które do tego skutku doprowadziły.

– Wasza Cesarska Mość pozwoli sobie zwrócić uwagę – powiedział kardynał – że mieszczaństwo, chłopstwo i lud nie odznaczają się już taką czystością obyczajów, jak przed pięćdziesięciu laty, a przecież to one stanowią masy.

– To nieprawda – gwałtownie sprzeciwił się cesarz – nieprawda! Zresztą, co ksiądz kardynał ma na myśli mówiąc o czystości obyczajów mieszczaństwa? Czy epokę, w której pani du Barry była panną sklepową?

– Ach – odezwał się Mogne – ksiądz kardynał chce pewnie mówić o czasach, kiedy mieszczenie chodzili na mszę, a chłopci płacili dziesięcinę.

Nigdy nie zapomnę spojrzenia, jakie w tej chwili Napoleon rzucił Monge'owi. Mieściło w sobie całe przemówienie. Było jasne, że Monge'a, którego zapatrywania były zapatrywaniami Volneya, Dolomieu i wielu innych uczonych, zupełnych ateistów, zwiodły słowa

cesarza i wydawało mu się, że mówi po jego myśli. Pan Monge powinien był jednak pamiętać o bardziej niż ostrym upomnieniu, którego niegdyś udzielił mu cesarz słysząc nad wyraz niestosowną wypowiedź, na jaką pozwolił sobie po śmierci panny Chameroy, a to w związku z kłótnią, jaka wybuchła między proboszczem kościoła Świętego Rocha i aktorami Opery:

– No, mimo wszystko jest to kłótnia komedianta z komediantami!

Napoleon był zły na pana Monge'a za to niepoważne powiedzenie. Chciał odbudować instytucje, moralność, prawa, to wreszcie, co Dyrektoriat i minione czasy tak osłabiły, i wiedział, że tę budowlę można wznieść tylko odwołując się do wszystkiego, co uczciwe, wszystkiego, co wprowadza ład. Religia, traktowana nie jako główna sprężyna, lecz jedynie jako środek pomocniczy, musiała więc zwrócić na siebie uwagę cesarza. Jej też poświęcił pierwsze starania. Przywrócił księży, ale nie kler, i mówiąc o nich, tak to wyraził: „Przywracam księży, by uczyli słowa Bożego miast sprawiać, by je zapominano”.

Tak więc zachowanie Monge'a bardzo cesarza rozgniewało. Odwrócił się do kardynała i starając się, by to, co mówi, zabrzmiało jak najuprzejmiej, powiedział:

– Jeśli ksiądz kardynał sobie tego życzy, istotnie przywrócimy dziesięcinę, choćby tylko na ten wieczór, i płacić ją będą ci, którzy będą mówić bez zastanowienia.

Dyskusja z literackiej, a nawet naukowej, jaką była na początku, przeobraziła się w polityczną i dotknęła bardzo delikatnej materii. Obłoczek niezadowolenia spowodowany wypowiedzią Monge'a sprawił, że umilkły wszystkie rozmowy i w wielkim niebieskim salonie Saint-Cloud przez kilka minut słychać było tylko głos cesarzowej, która cicho do nas mówiła, i odgłos kroków cesarza przechadzającego się i swoim zwyczajem coraz to zażywającego tabakę. Jednakże w głowie takiej jak cesarza poważne myśli nie pojawiały się jedynie jak obrazy w latarni magicznej, lecz pozostawały w niej i rzadko pozwalał im odejść nie zapytawszy, dlaczego się pojawiły. Cesarz spacerował jeszcze czas jakiś, a wszyscy (to jest mężczyźni) stali w postawie pełnej szacunku; nagle zatrzymał się przed kardynałem i powiedział tonem na pół surowym, na pół drwiącym:

– A więc ksiądz kardynał utrzymuje, że obyczaje ludu są teraz o wiele bardziej zepsute niż przed czterdziestu laty? A gdybym niezbicie dowiódł czegoś przeciwnego, co by mi ksiądz odpowiedział?

– Sire...

– A więc?

– Ależ, Sire, nic bym nie odpowiedział – rzekł kardynał, który odzyskiwał pewność siebie – gdyż tylko ktoś niespełna rozumu mógłby nie uznać oczywistego dowodu, i jeśli Wasza Cesarska Mość mnie przekona, nie będę miał nic do powiedzenia. Muszę jednak zostać przekonany.

– A więc spytam księdza kardynała, czy przez lud Francji rozumie ludność Paryża? W dniu jakichś zamieszek masy te mogą się liczyć w stosunku dziesięć do jednego. Musi jednak ksiądz kardynał przyznać, że mieszczaństwo i kupiectwo Paryża to, licząc mężczyzn, dzieci, kobiety i starców, nie więcej niż dwieście tysięcy osób. Wśród nich mogą się zdarzyć wyjątki żałujące ukrytych pod potrójną pajęczyną dawnych obyczajów, które rewolucja wymiotła, starych obyczajów, które uległy zaprzepaszczeniu w pewnych rodzinach z ulicy Saint-Denis lub Marais, ale których te rodziny żałują. Niech jednak ksiądz kardynał rozszerzy krąg wokół siebie, wyjdzie z miast, uda się na wieś, w okolice klasztorów i tam zapyta starszyznę wiejską, jak benedyktyni, genowefianie, a zwłaszcza mnisi z czterech zakonów zebranych uczyli moralności żony swoich dzierżawców. Działo się to wszędzie i było powszechnie wiadome, a nawet, ku wielkiemu zgorszeniu, znalazło naśladowców wśród oficerów prowincjonalnych garnizonów. Któż nie wie, jak sobie zacni ojcowie poczynali!

– Kto może ustrzec człowieka przed upadkiem? – westchnął kardynał wyraźnie urażony. – Ale ileż dobra ci sami ludzie czynili wokół siebie! Jakie skarby owi benedyktyni, o których Wasza Cesarska Mość mówi, dali literaturze! Ich prace będą...

Rozmowa ciągnęła się długo. Cesarz był rozmowny jak nigdy. Poruszał jakieś zagadnienie, rozwijał je, jednak wrócił wreszcie do spraw poważnych, które miały stanowić główny temat zebrania. Ja, osoba nic nie znacząca w dziedzinie nauki, musiałam odpowiedzieć na pytanie cesarza dotyczące pana de Fenaigle'a, profesora mnemoniki. Opowiedziałam cesarzowej o mnóstwie głupstw popełnianych przez tego człowieka, który istotnie był półgłówkiem, gdyż nie zasługuje na

inne miano ten, kto postępuje tak, jak on poczynął sobie w Paryżu. Napoleon nie lubił de Fenaigle'a. Nie cierpiał doktora Galla i nie gustował w jego systemie. Co do systemu pana de Fenaigle'a, to był po prostu śmieszny. Cesarz śmiał się bardzo z tego, co mu opowiedziałam o panu Maguien, koledze szkolnym Junota, którego Junot przygarnął. Był to najnudniejszy z ludzi, a równocześnie najgłupszy. Umiał na pamięć cały słownik i przeróżne gramatyki. Znał wszystkie błędy koniugacji czasownika, które mogłyby popełnić osoby piszące. Ale błędy, które mógłby popełnić rozum lub geniusz, gdyż geniusz popełnia je podobnie jak każdy inny, to go nie obchodziło, to było proste...

**Przeczytaj również: Kompleks Napoleona – Konrad Wyszkowski**

Człowiek o takiej mentalności musiał wielbić pana de Fenaigle'a. Nie opuszczał ani jednego wykładu profesora i przez cztery godziny słuchał wszystkiego, co mówi „wielki człowiek”. Pewnego dnia, działo się to w zimie, był trzaskający mróz. Pan Maguien uczył się o pamięci tyle, ile mogła pomieścić jego biedna głowa. Nagle spostrzegł, że jest już piąta i że pozostało mu mało czasu, by wrócić do pałacu d'Abrantès i przebrać się do kolacji. Popędził więc, lecz mimo że biegł szybko, przyleciał na wskroś przemarznięty, i wtedy dopiero spostrzegł, że u handlarza pamięcią zapomniał surduta. Cesarz bardzo się śmiał z tej historii. Gdyby znał de Fenaigle'a i Maguiena, śmiałby się jeszcze bardziej.

Napoleon miał swój odrębny sposób dyskusowania. Myśli się na ogół, że narzucał milczenie i nie zezwalał na żadną replikę. To nieprawda. Często byłam świadkiem ożywionej dyskusji, która nie przebiegała inaczej niż każda ożywiona rozmowa między dwiema osobami

odmiennego zdania. Napoleon dyskutował, ale się nie kłócił. Nie mogę tego powiedzieć o wielu osobach, z którymi niestety różniłam się zdaniem w sprawach lepiej znanych mnie niż im.

[...]

### **Dobroć Napoleona – Napoleon jako Harun al-Raszid przebiega ulice Paryża**

Ludzie, którzy oblekają cesarza w tygrysią skórę – jak to sam dowcipnie powiedział na Wyspie Świętej Heleny – wcale go nie znają. Cesarz miał upodobania świadczące o jego dobroci. Toteż wierzę, że przyszedł na świat z zarodkiem wielkiej wrażliwości i że jego nieszczęsna sytuacja, nie był bowiem szczęśliwy w latach wczesnej młodości, niemal narzuciła mu inną naturę. Później ambicja i związana z nią egoistyczna oschłość opanowały serce, początkowo stworzone, by kochać i być kochanym. Inna droga życia otwarła się przed Napoleonem, gdy wyszedł z wieku dziecięcego, i tę drogę obrał.

Kiedy był porucznikiem artylerii w Marsylii, nie myślał, że to miasto będzie jednym z miast jego wielkiego mocarstwa. Miał siedemnaście lat. Był wtedy w rozkwicie wieku młodzieńczego, a co za tym idzie – złudzeń. Ale jakże marzenia, nawet marzenia młodzieńcze, można było piastować w obliczu korony, tronu, władzy?

W owym okresie Napoleon uznawał tylko jedną jedyną władzę, tę, którą sprawowały oczy mówiące o miłości, melodyjny głos. Z czasem niepomiaralna ambicja zdławiła w nim wszelkie namiętne uczucia i zastąpiła je niepokromioną wolą i afektami dalekimi od tego, by stać

się osłoda jego życia – były one tylko czymś drugorzędnym i mało znacznym w jego wielkim marszu przez świat, który ruszał z posad. Nie jestem wobec Napoleona niesprawiedliwa. Nie jestem także jego fanatyczną wielbicielką. Ponieważ jestem na tyle rozsądna, na ile on jest wielki, sądzę go tak, jak powinien być sądzony taki kolos sławy: poprzez czyny, jakich dokonał.

A oto przygoda, która wydarzyła się w owym czasie, a którą chcę opowiedzieć, gdzie ukazuje Napoleona we właściwym świetle.

Jak wiadomo, Napoleon lubił poranne wędrówki w towarzystwie samego tylko księcia Friulu i największą przyjemność sprawiało mu, gdy go nie poznawano. Któregoś dnia, było to w marcu lub kwietniu, cesarz wyszedł z Pałacu Elizejskiego, gdzie wtedy mieszkał, i przy pięknej ciepłej pogodzie, gdy dokoła pachniała wiosna, wraz z Durokiem wyruszył na bulwary. Godzina była szósta rano i kiedy znaleźli się na bulwarach, cesarz śmiejąc się zauważył, że zbyt wcześnie udali się na przechadzkę; wszystkie sklepy były jeszcze zamknięte.

– Nie trzeba tak rano bawić się w Haruna al-Raszyda – powiedział. – Zresztą zdaje się, że Harun al-Raszyd ze swoim wiernym Dżaffarem wyruszał na wędrówki nocą.

W toku rozmowy, gdy zauważył jakiś dom, który szpecił ulicę i na niej zawadzał, kazał Durokowi zapisać ów dom w notesie, by przy pierwszej okazji mógł o tym powiedzieć panu Fontaine. Tak dotarli do Pasażu Panoram.

Tu kilka sklepów właśnie się otwarło. Jeden z nich pociągał cesarza bardziej niż inne. Był to słynny magazyn alabastrów florenckich, który wyówczas, podobnie jak dziś, należał do pary Szwajcarów, pana L. i jego siostry.

W sklepie znajdowała się wtedy tylko służąca zajęta zamiataniem, co czyniła tak niezgrabnie, bojąc się, by czegoś nie stłuc, że cesarz, który długo się temu przyglądał, wybuchnął wreszcie wesołym śmiechem uczniaka.

– Do licha! – powiedział na koniec. – Do kogo ten sklep należy? Nie widać ani właścicielki, ani właściciela.

– Czyżby pan chciał tu coś kupić? – powiedziała służąca, która przestając zamiatać złożyła ręce na miotle i oparła na nich podbródek.

Minę miała dosyć drwiącą i doprawdy nie można było mieć jej tego za złe, gdyż moim zdaniem trudno spotkać kogoś o wyglądzie dziwniejszym niż Napoleon w swoim stroju Haruna al-Raszyda czy też kalifa z Bagdadu, jak sam ów strój nazywał.

Ubrany był zawsze w słynny szary surdut [2], ale nie barwa, lecz fason surdutu stanowiły o jego dziwaczności. Cesarz nigdy nie chciał nosić ubrań obcisłych lub choćby trochę krępujących ruchy, co miało ten skutek, że krawcy szyli mu fraki i surduty, jakby brali miarę, długość i szerokość, z budki strażniczej. Kiedy cesarz się ożenił, król Neapolu wymógł na nim, by pozwolił się ubierać jego krawcom. Cesarz dzielnie

wytrzymał pierwszych kilka dni, ale później zaczął wyrzekać, że to męka, i błagał o ułaskawienie. Prosił cesarzową, by tę sprawę rozstrzygnęła, a cesarzowej wystarczyło, by pozostawiono jej konne przejażdżki i cztery lub sześć posiłków dziennie, aby już była w dobrym humorze i tego samego zdania, co wszyscy. Tak więc pozostawiła cesarzowi swobodę ubierania się według własnej modły, a zwłaszcza według własnego upodobania, mówiąc, że kocha go tak i tak. Wydaje mi się, że nie kłamała, lecz chciała tylko powiedzieć, że nie kocha go bardziej tak niż tak.

**Przeczytaj również: Rewolucja francuska – obraz kulturowy.  
Rozmowa z Remigiuszem Foryckim**

Do tego, jak już wspomniałam, fatalnie uszytego surduta nosił cesarz okrągły kapelusz nasunięty na oczy, nie chciał bowiem, by go poznano. Surdut, zapięty na wszystkie guziki i nałożony niczym pokrowiec, a przy tym zupełny brak przyzwyczajenia do manier światowych składały się na dość zabawną całość, w której nie można się było doszukać żadnych cech bohatera. Służąca szybko oceniła, że osobnik w takim surducie i kapeluszu może jedynie kupić przycisk na biurko lub jakiś inny drobiazg wartości dziesięciu lub piętnastu franków i że nie warto dla takiej sprawy budzić jej młodej i pięknej pani. Cesarz był jednak innego zdania, toteż kiedy już dostatecznie ubawił się zachowaniem mistrzyni miotły, tonem stanowczym zapytał, czy jest ktoś, kto mógłby się z nim rozmówić.

Młodziutka siostra pana L., która słyszała rozmowę służącej z cesarzem, szybko włożyła suknię i zeszła do sklepu. Cesarza uderzyła uroda i wygląd młodej osoby, tak szlachetny i dystyngowany jak u najwytworniejszych kobiet na cesarskim dworze.

– Dalibóg – powiedział do niej cesarz dotykając skraju kapelusza, ale go nie zdejmując, by nie zostać poznanym – wydaje mi się, że nie jest pani rannym ptaszkiem; nie tak kupcowa winna dbać o sklep.

– Miałby pan rację – odparła panna L. – gdybyśmy coś sprzedawali i handel jakoś szedł. Ale czy jesteśmy w sklepie, czy nas nie ma, nie sprzedaje się przez to więcej ani mniej.

– Handel jest więc bardzo chory? – powiedział Napoleon oglądając różne przedmioty rozstawione na stoliczkach.

– Zgubiony, proszę pana, zgubiony! I jakże mogłoby być inaczej? Wszystko musi pójść na marne.

– Doprawdy? Więc Francja jest w tak alarmującym stanie? Jestem cudzoziemcem. Chciałbym zrobić kilka zakupów i chciałbym, żeby tak miła osóbka wyjaśniła mi troszkę, co dzieje się we Francji. Jak nazywa pani wazy tego kształtu?

– To są wazy medycejskie – odpowiedziała panna L.

– Są bardzo piękne. Ile kosztują?

Panna L. szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Wazy były ocenione na trzy tysiące franków. Powiedziała to, Napoleonowi. Kiwnął głową i pytał dalej:

– Mówi więc pani, że handel podupadł, dlaczego?

– Ach, proszę pana, póki będziemy mieli tego małego człowieczka tak zwariowanego na punkcie wojny, czy możemy spodziewać się już nie dni, ale choćby godzin spokojnych?

I piękna panienska, zgnębiona, opadła na ławeczkę za ladą. Cesarz patrzył na nią z upodobaniem i jakimś pełnym szacunku zainteresowaniem, gdyż jak wspomniałam, panna L. wzbudziła już jego podziw chodząc po sklepie.

– Czy pani mąż jest w armii? – spytał cesarz pannę L.

– Nie jestem zamężna, proszę pana, opiekuje się mną brat, a ja pomagam mu w sklepie. Nie jesteśmy Francuzami, jesteśmy Szwajcarami.

– Ach, tak!

Cesarz powiedział to z takim samym roztargnieniem, z jakim mógł być ziewnąć. Słuchał jednak uważnie.

– Kupuję od pani te dwie wazy medycejskie – rzekł do panny L. – Przyjdą po nie o jedenastej. Niech się pani postara, żeby były przygotowane.

Ostatnie słowa wypowiedział tonem władczym i dotykając ręką kapelusza wypadł ze sklepu dając znak księciu Friulu, by szedł za nim.

– A więc miałem swoją przygodę! – powiedział, kiedy wyszli z pasażu, gdzie zaczynano otwierać sklepy. – Czy wiesz, że ta dziewczyna jest bardzo dystygowana! Kiedy powiedziała, że jest Szwajcarką, wydało mi się, że widzę jedną z żon lub siostr ludzi z Grutli [3]. Czy sądzisz, że mnie poznała?

– Jestem pewien, że nie, Sire. Mówiła zbyt spokojnie i ze zbytnią pewnością. Nie, Sire, ona nie wie, kim jest Wasza Cesarska Mość.

Cesarz chwilę był zamyślony, później podniósł głowę i z dumnym spokojem powiódł wzrokiem dokoła. Duroc, który opowiadał mi tę scenę, był pewien, że cesarz miał jakieś niedobre myśli, ale je poskromił...

O tak, miał wielką i silną duszę!

O jedenastej do sklepu panny L. przybyli tragarze z noszami i lokaj w liberii cesarza. Przyniósł liścik, w którym pisano, że panna L. ma towarzyszyć wazom, by otrzymać za nie zapłatę.

– A dokąd mam pójść? – spytała młoda panna drżąc, gdyż na widok liberii cesarza zaczynała już żałować słów powiedzianych rano.

– Do Pałacu Elizejskiego, proszę pani – odpowiedział lokaj.

Pan L., który równocześnie dowiedział się o rannej przygodzie i jej zakończeniu, gdyż dopiero co powrócił, postanowił towarzyszyć siostrze. Kazał jak najostrożniej załadować wazy, i z siostrą, która drżała jak listek, podążył za tragarzami. A jednak panna L. nie przeczuwała całej prawdy.

Kiedy przybyli do Pałacu Elizejskiego, zostali natychmiast wprowadzeni do gabinetu cesarza. Cesarz sam wyjął z biurka trzy tysiące franków i wręczając je pannie L. powiedział z uśmiechem:

– Na drugi raz niech pani tak nie narzeka na zastój w handlu...

Uprzejmie skinął ręką i wrócił do swoich pokojów. Panna L. była sprawiedliwa. Toteż „mały człowieczek” bardzo urósł w jej pojęciu nie dlatego, że kupił od niej dwie wazy za trzy tysiące franków, lecz dlatego, że zapomniał o słowach, które niejeden poczytałby za obrazę.

*Laura księżna d'Abrantès*

**Przypisy:**

[1] Cała literatura z końca ubiegłego wieku, od 1794 do 1802.

[2] W ostatnich latach często nosił także surdut niebieski.

[3] Tak nazywa się łąka, gdzie niegdyś składali przysięgę Wilhelm Tell, Walter Fürst i Stauffacher.

Fragment pochodzi z pamiętników księżnej: *Pamiętniki*, Tom II, przełożyła Elżbieta Wassongowa, wstępem i przypisami opatrzyła Zofia Flibiszowska, Czytelnik, Warszawa 1974.

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”**

**[499]: „Napoleon? A kto pyta? – czyli echa pamięci”**